Ner 10. Kraków, dnia 16go Maja 1879. Rok X.
(Od założenia pisma).

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

„Włościanin“ wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. „Włościanin“ kosztuje rocznie złr. 3 w. a., półrocznie złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie złr. 5, półrocznie złr. 2 cent. 50, kwartalnie złr. 1 cent. 25. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują oba 3 talary. W Królestwie Polskiem kosztują oba 5 rubli sr.
Manuskrypta nie zwracają się.
(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

17. S. Paschalisa wyzn.
18. N. Feliksa kapucyna.
19. P. *Krzyż.* Piotra Cel. i Iwona.
20. W. *Krzyż.* Bernarda Sen.
21. Ś. *Krzyż.* Heleny król.
22. C. *Wniebowst.* Julii panny.
23. P. Dezyderyusza bisk.
24. S. MP. Pom., Winc. i Joan.

Ogłoszenia i inseraty przyjmuje się po 5 ct. od wiersza. **Listy frankowane lub przekazy pocztowe** należy adresować: Do Redakcyi „Włościanina“ i „Zagrody“ przy ulicy Floryańskiéj Nr. 371 pierwsze piętro.

Socyalizm a młodzież polska i lud polski.

(Kwestya bezżenności i królobójstwa).

W poprzednich numerach „Włościanina“ zastanawialiśmy się nad socyalizmem i nihilizmem z różnych punktów widzenia, czyli z różnych stron, i widzieliśmy, że ani rozumu nie przekonują te niby przemądrzałe zasady, ani serca uczciwego człowieka nie porywają ku sobie, że owszem wieje z nich mimowolnie, jakby jakieś jadowite, trujące a odpychające uczucie. Niech sobie mówią co rzewnie chcą, nie wydrą nam z serca i z duszy Boga, nie wywrócą i nie obalą religii i obyczajów chrześcijańskich; niechby nas kto zaczepił, niechby się śmiał targnąć na naszą świętą katolicką wiarę, o poznałby rychło, że lud polski w Galicyi jest tak dobry jak w Wielkopolsce, tak dobry jak pod uciskiem moskiewskim, nadstawiłby swoich piersi i kazałby sobie strzelać w samo serce, a zasłoniłby przed zniewagą Pana Jezusa.

Lud polski w Galicyi nie ma powodów do takiego bohaterskiego okazania wiary świętéj ojców swoich, jakie mają bracia nasi w Prusach (w Poznańskiem) i w Rosyi (lud unicki w Chełmińskiéj ziemi szczególnie), ale niemniej jest gotów bronić zawsze i wszędzie aż do męczeństwa świętéj religii katolickiéj, bo sprawa Pana Jezusa jest jego własną sprawą, — on jej poprzysiągł, kiedy się chrzcił, kiedy odbierał sakrament bierzmowania, kiedy przystępował do pierwszej komunii św., kiedy się żenił, — i odnawia to przyrzeczenie przy każdym pacierzu, przy każdéj pracy, czy w domu, czy na roli, czy przy bydełku, czy w lesie, czy w podróży, słowem wszędzie powtarza swe obietnice uczynione Panu, i z pewnością ich dochowa, bo nad nie, niema nic droższego na świecie. — Kwestya narodowości zanadto jest drogą, abyśmy ją sobie mrzonkami zastąpić i wydrzeć dali, owszem dumni jesteśmy, żeśmy Polakami, żeśmy dziećmi téj ziemi zbroczonéj potem i krwią naszych wielkich wojowników, bohatyrów i męczenników, i jéj wiernymi pozostaniemy.

Równie młodzież polska i lud polski pojmuje i rozumie prawo własności; o różnicy między „mojem“ a „twojem“ dowiedzieliśmy się prawie niemowlętami, tę zasadę wyssaliśmy z piersi matek naszych, a kiedy światło rozumu w nas się ocknęło, tośmy poszanowanie cudzej własności widzieli u rodziców naszych na każdym kroku — zresztą siódme przykazanie boże: nie kradnij! uczy nas i obowiązuje krótko i węzłowato, więc to wszystko rozumiemy i wiemy, że tyle mamy wartości, ile tych boskich zasad przestrzegamy i wykonawcami jesteśmy.

A teraz zastanówmy się chwilkę nad kwestyą bezżenności i królobójstwa, czemu to te zgubne zasady socyalizmu i nihilizmu są nam tak wstrętne, a przecież głoszone przez ludzi bezbożnych!

Są i muszą nam być wstrętne, bo są grzeszne i występne. A jak cnota to ma do siebie, że woń jéj jak fiołka ukrytego w trawie już zdaleka pachnie i błogiem uczuciem napełnia nasze serce, skoro się do cnotliwego człowieka, czy cnotliwéj jakiéj pracy, czy nauki zbliżamy,

tak grzech i występek choćby w najpiękniejszéj postaci chciał wystąpić, ma jakby wszetecznica na sobie piętno przekleństwa i dziwnéj odrazy dla wszystkich, którzy się doń zbliżają lub zabierają.

Nihiliści i socyaliści uczą, że na świecie nie powinno być żadnych ślubów w kościele przed ołtarzem, ale, że kobiety powinny być wspólne jak u zwierząt. I czy można coś ohydniéjszego nad to wymyśleć? No powiedzcie sami. Co się stanie z dziećmi w ten sposób zrodzonémi? kto się zajmie wychowaniem? gdzie będą te dzieci mieszkać, bo w norze i w jamie jak zwierzęta dzikie mieszkać nie mogą? czy zgniją po rozstajnych drogach lub pod płotem? czy psy i świnie mają je pożreć, bo się nikt niémi nie zajmie? Zkąd rodzina weźmie swoich członków, zkąd gmina, powiat, Ojczyzna swych obywateli?

A cóż te i tym podobne pytania mogą tych panów nihilistów i socyalistów obchodzić! Niech zdziczeją ludzie, niech opuszczą z nędzy, biedy i powszechnego zamieszania swe chaty i chatki i sioła i wsie — i niech sobie idą do lasów i tam niech mieszkają w stanie zdziczenia razem z miłymi sąsiadami jak wilki, lisy, niedźwiedzie, tygrysy, lwy itd! A czy się nihilista lub socyalista nad tem zastanowi, czy go to obchodzi? Broń Boże! Jemu chodzi o wywrót i przewrót tego, co Bóg, kościół i ludzkość przez ciąg całych wieków zdziałały.

Ale przecie dziwnem jest, jak mogą w głowie ludzkiéj powstać takie myśli, przecież to musi mieć, powie ktoś, jakiś powód, jakąś przyczynę.

A tak. Wszystkie te sasady przewrotu, te potworne nauki nihilizmu i socyalizmu, mają swoją przyczynę i powód. A jaki? A po prostu taki, o jakim my kochanym naszym Czytelnikom pisali w dawniejszych numerach, a przedewszystkiem w ostatnim. Zaś tą przyczyną i powodem jest chciwość i pożądliwość obcego mienia i obcéj własności. Wszak powiedzieliśmy sobie, że cały nihilizm i socyalizm do tego zmierza, żeby zabrać i zagrabić obce mienie. Ale ojciec i matka w rodzinie pracują na to najpierw, aby siebie i dzieci swe wyżywić, wychować, potem na to, aby im co uciułać i zostawić po swéj śmierci, bo przywiązanie rodziców do dzieci, Bóg głęboko zapisał w duszy ojca i matki. Ojciec i matka pracują do umęczenia, a tego co zapracowali, strzegą i pilnują dla dzieci. Otóż ci złodzieje nowomodni, co się nihilistami nazywają, uderzają pomiędzy innemi rzeczami na sakramentalne małżeństwo czyli na małżeństwo w ogóle, aby przez usunięcie małżeństwa znieść ową opiekę nad majątkiem rodziny i ten majątek bez trudności i bez oporu dostać w swoje ręce i używać, dopóki obcéj pracy starczy. I to jest powód, że nawet takie przewrotne zasady mają przystęp do ludzkiego umysłu. Ale jest jeszcze inny powód.

Wiecie, że ojciec, matka, dzieci, dziadkowie i krewieństwo tworzą rodzinę, i każda taka rodzina musi być karną i sforną, aby się ostać mogła. Ojciec jest głową rodziny, podporą domu; matka jego pomocą we wszystkiem, towarzyszką w dobréj i w złéj doli; dzieci i dalsze rodzeństwo słuchają rozkazu ojca i matki, szanują i stosują się do woli swych rodziców. W rodzinie nie chodzą dzieci samopas, jak i gdzie chcą, ale czynią to, co ojciec i matka każą, a co na korzyść i na dobro całéj rodzinie wychodzi. Dzieci też są w dobréj rodzinie przekonane, że czynią dla siebie samych dobrze, kiedy pełnią wolę ojca, matki i do tego posłuszeństwa zmusza je powaga ojca, ale też i wola boża, bo czwarte przykazanie powiada: „Czcij ojca i matkę, abyś długo żył na świecie i żeby ci się dobrze powodziło na ziemi“. Dobrze zorganizowana czyli karna rodzina, to potężna zbiorowa jednostka, a gdzie Bóg błogosławi, tam daje to szczęście gminie, że rodzina w rodzinę wszystkie tęgie, dziarskie i karne tworzą kółka. Co to dopiero za rodzina! co to za tęga wieś! co za silna taka gromada!!

A takich gmin więcéj razem połączonych stanowi powiat, zaś powiatów wiele razem tworzy kraj, państwo, ojczyznę. Otóż rozumieją to dobrze nihiliści, że aby państwo wywrócić i obalić, trzeba swoją robotą zacząć od jego podstawy tj. od rozbicia i wywrócenia rodziny. I dlatego to tak energicznie się do dzieła zabrali. A liczą na to, że rozkaz dobrego ojca znajduje nieraz opór u złych i wyrodnych dzieci, więc tę wyzyskują okoliczność i chcą wolę krnąbnych dzieci postawić przeciw woli i rozkazowi rodziców — piękna rachuba! Ale nie pytaj o to nihilistów i socyalistów, że to niemoralnie, że to się nie godzi, oniby samego Pana Jezusa obdarli, a cóżby mieli oszczędzać praw rodzinnych i moralności rodzinnéj. Otóż powiedzieli sobie: trzeba rozbić państwo, by nie było ani sądów, ani żandarmów, ani kryminału, aby zabierać można i grabić obcą własność bez obawy — ale jaktu zrobić, jaktu rozbić państwo? Wpadli więc na myśl, że aby rozbić państwo, trzeba rozbić rodzinę, znieść jéj prawa i obowiązki, a wtedy łatwiéj będzie z resztą się uporać.

Dlatego to, kiedy wmawiają w ludzi płytkich rozumów i zepsutych serc, że kobiety mają być **wspólne**, a mniejsza o dzieci, czy żyć będą, czy wyginą i zmarnieją, kiedy sakrament małżeństwa jest im jakby solą w oku, to równocześnie rzucają się na cesarzy i królów z rewolwerami lub ze sztyletami w ręku, aby ich zabić. A czemu? Wszak nie dlaczego innego, tylko dla téj prostéj przyczyny, że jak w rodzinie ojciec strzeże dobra rodziny, tak w państwie dobry panujący czy to cesarz, czy król, czy książe pilnuje i strzeże dobra swoich poddanych, a nihiliści chcieliby właśnie te dobra zabrać, gdy tymczasem w rodzinie ojciec, a w państwie cesarz lub król nie pozwala grabić bez powodu i bez przyczyny obcego mienia i dobytku. I ztąd to te królobójstwa. Oczywiście, że ani wspomni taki nihilista i socyalista, że to grzech, że Bóg karać będzie ciężko; cóż jego Pan Bóg obchodzi, skoro on djabłu się zapisał i jego sprawę rozszerza na świecie? Jak Pan Bóg ma swoich kapłanów i apostołów, tak djabeł ma też swoich i moc djabelska byłaby na zawsze wyrugowaną z téj ziemi, żeby ochotnicy nie wstępowali sami do służby djabła i jego zasad złych i przewrotnych nie szerzyli po świecie. O karze boskiéj nihiliści i socyaliści ani myślą, ale też równie nie myślą o tem, że nim ich kara boża spotka, to może na nich spaść i kara tutejsza ziemska. Niechby Wam kto takie głupie nauki prawił, miałby się on z pyszna od was!

Jeszcze słów kilka na zakończenie.

Wykazaliśmy Wam mili Bracia! co to są te zasady socyalistyczne i nihilistyczne w ogóle; o szczegółach mówić obecnie nie będziemy, bo byśmy do końca roku nie skończyli Wam o tem pisać i prawić. Dużo było włościan i niewłościan, którzy nas podczas odpustu a swego pobytu w Krakowie na św. Stanisława odwiedzili i dziękowali nam za te uwagi twierdząc, że byli niezmiernie tego ciekawi, co też to na tém jest, a tymczasem na tém nic nie ma — bo wszyscy wiedzą, że złodziéj prosty szuka nocy, żeby po ciemku kraść i obdzierać — światło, ten dar najwyższy nieba jest mu wstrętny i niedogodny; zaś złodziéj surdutowy, czyli taki nihilista lub socyalista musi też szukać nocy, cienia w umysłach tych ludzi, których postanowił skrzywdzić. Otóż paczy i psuje ich pojęcia wyssane z mlekiem matki, słyszane w szkole, w kościele, w konfesyonale, i chce, aby się ciemno przez fałsze i obłędy zrobiło w umyśle, żeby w duszy naszéj wywołać wszystkie najsprośniejsze żądze, obudzić niskie instynkta i takie w głowie naszéj sprawić zamieszanie, gmatwaninę, taki wywołać wirwar w naszém sercu, żeby jakby najczarniejsza noc zaległa naszą duszę, iżbyśmy już nie wiedzieli, czego się trzymać, a wtedy nihiliści i socyaliści rozdrapaliby z kretesem naszą własność, nasze dobra, nasze lasy, nasze pola, nasze łąki, nasze bydło, nasze domy i chaty, nasze zapasy żywności, naszą odzież — a niejednego duszę strąciliby na dno piekła.

Coby się potem stało? Łatwo odgadnąć, byłaby oto pustka we świecie jak po pożarze lub po powodzi; nie byłoby co jeść, w czém mieszkać, w czém chodzić — ale co to nihilistę lub socyalistę obchodzić może, a niech sobie ludzie mrą i giną z nędzy i głodu, byle on miał. Ale i jego szczęście niedługoby się skończyło: jadłby i piłby, pókiby mu obcego starczyło, a jakby niestarczyło? Toby znowu przemyślał, możeby poszedł gdzie do Ameryki, lub do Afryki, lub do Australii, i tamby daléj prowadził swoje dzieło zniszczenia. Ale sądzimy, żeby pierwszy zmarniał i zginął taki socyalista, jak to wielu wyschło, wynędzniało i zmarniało, co to w czasie rabacyi w roku 1846. zmaczali swoją rękę w krzywdzie ludzkiéj. Oj nie tuczy, nie tuczy kradzione!

My też tu w stolicy, przyjaciele i bracia polskiego ludu, bracia zacnych i poczciwych naszych włościan, my, cośmy z ludu wyszli, lub urośli prawie jakby na jednym zagonie, co lud znamy do szpiku kości, otóż my jesteśmy najzupełniéj o was Bracia spokojni. Taki głupi i błahy nihilista prędzejby kijem oberwał, nimby was na swoją nawrócił wiarę. Taki nihilizm i socyalizm nie przyjmie się nigdy naprawdę ani pomiędzy naszą młodzieżą szkolną, bo ona wié, że jest nadzieją naszą, ani pomiędzy ludem naszym, bo lud polski ma być nietylko świadkiem spełnienia nadziei naszych, ale on się ma głównie do dzieła oświaty ludowéj, do polepszenia gospodarstwa, do podniesienia szkół, a przez nie do podniesienia dobrobytu w kraju przyłożyć, a jeżeli z pociechą naszego serca widzimy to poczciwe staranie i garnienie się do oświaty u ludzi starych, jeżeli wszyscy smakują w oświacie, w pisemkach ludowych, w książkach ludowych, w czytelniach ludowych — choć mało który z nich chodził za młodu do szkoły, to cóż dopiero będzie, kiedy młode dziś pokolenie uczone i ćwiczone w szkole wyjdzie i po latach gospodarzyć i włodarzyć będzie w chatach i wioskach! Oświata będzie większa, a im więcéj oświaty prawdziwéj tem mniéj powodzenia dla zasad przewrotu i rozstroju. Młode pokolenie nietylko

łatwo pozna się na wilczéj naturze nihilistów i socyalistów, ale téż znajdzie łatwiéj sposoby i środki, aby je odeprzéć i odsunąć od siebie.

Otóż i dziś i jutro i zawsze możemy zasypiać spokojnie, młodzież polska, lud polski takim nihilizmem i socyalizmem wzgardzi, co każe mordować królów, wypędzać z domu rodziców starych, żyć bez związku małżeńskiego jakby zwierzętom, co radzi i nakazuje zaprzeć się swéj narodowości, wyprzeć się Boga i religji — ach takiego nihilizmu nie trzeba się obawiać, bo on nie przyjmie się w sercu, w duszy, ani młodzieży naszéj, ani ludu naszego.

Ale jest inny nihilizm, co nas trawi i pożera i który może być dla nas zgubą, jak się stał przyczyną ruiny u wielu niebacznych.

A cóż téż to może być za nihilizm? spyta niejeden.

Więc posłuchajcie. — Kiedy rzucimy okiem na stosunki nasze czy miejskie, czy małomiejskie, czy wiejskie, wszędzie znajdziemy jedno, że czy pan, czy chłop, czy rzemieślnik, czy mieszczanin — słowem wszyscy skarżymy się na biédę i nędzę, która nas trapi i nęka. Pan we dworze ma wprawdzie duże dochody, ale téż takie wydatki, iż zwykle wydatki są większe od dochodów — a tu żyć trzeba, napracować się trzeba do upadłego. Zaciąga dwór na poratowanie gospodarstwa dług żydowski, potem niech grad spadnie, niech się nie urodzi, niech ogień broń Boże! spali, albo woda zabierze, — niech przyjdzie dłuższa choroba, a żydek staje się coraz potrzebniejszy; potem z długów w długi, procenta rosną, pan nie płaci, bo nie może — i cóż się dzieje? Wszak wiecie, bo już w wielu wsiach żyd rozpiera się we dworze; a w wielu niedługo rozpierać się będzie.

Jest to wypadek przerażający, ale nie najgorszy, bo pan ma płacić to, co rzeczywiście wypożyczył. Lecz idźmy daléj.

Rzemieślnik, rękodzielnik, mieszczanin naszych małych miasteczek cóż to za biedni ludzie! Żyd bestya pożyczył, dwa razy sobie dopisał, procenta rachuje i rachuje, i wnet rzemieślnik i mieszczanin fora ze dwora ze swego domku, a to nie sam, ale z żoną i dziećmi. Doprawdy nasze miasta i miasteczka okropny przedstawiają obraz nędzy; ani dzieci wychować, ani siebie wyżywić i okryć nie mogą, Boże! Boże! co téż to będzie daléj. A któż to temu winien? Najpierw szachraj żyd, a potém brak o g l ę d n o ś c i, brak r o z u m u, brak w s z e l k i e g o r a c h u n k u z naszéj strony. I jeżeli kogoś w kraju Bóg nie natchnie jaką zbawienną myślą, jeżeli kto nie przyjdzie nam w pomoc, nie zaradzi, nie ureguluje tych stosunków, tośmy z kretesem przepadli. Już tu w Krakowie o tém na seryo myślą, a co wymyślą, to wam napiszemy na tem miejscu.

A jak stoi nasze rolnictwo? cóż robią włościanie? czy oni nie siedzą u żydka w kieszeni? Niestety i ci siedzą. Piją wódkę, bankietują, traktują się, hulają — i zdaje im się, że to będzie bez końca tego dobrego. A tymczasem dzień po dniu upływa, aż po miesiącu czy po miesiącach przychodzi pozew, że ten i ten ma stanąć w sądzie; znów ten i tamten mają zapłacić arendarzowi; pytają się: zkądże tyle? Żyd gotową zawsze ma odpowiedź, a czy ty będziesz przysięgał, kiedyś był pijany, lub nie zapisałeś sobie, ile ci Mosiek pożyczył. Sprawa wytacza się przed sąd, sąd widzi twoją Bracie głupotę, widzi twoje nieszczęście, czuje, że cię żyd zarwał, ale żyd wié, co mówi, a ty nie wiesz; więc żyd wygrywa sprawę, a ty bracie ruszaj z gruntu, ruszaj z chałupy — idź na dziada, na włóczęgę, niech twoje dzieci zgniją i pod płotem niech je roztoczy robactwo — o to się nikt nie spyta — a ty temu nie poradzisz, bo już zapóźno. A ileżto takich wypadków w Galicji! Nie zliczyłbyś, choćbyś i cały dzień rachował — i ty dawniejszy gospodarz, teraz jesteś żebrakiem i nędzarzem.

Otóż to jest n i h i l i z m n a s z, który ssie i toczy nam krew z żył, a z krwią i życie. I kiedy tamten nihilizm nic nam nie zrobi, ten nas zrujnuje i musimy zginąć. Niech jeszcze kilkanaście lat potrwają te stosunki tak w miastach, jak w miasteczkach i po wsiach, a wszyscy pójdziecie z torbami o żebraczym kiju. Kto więc w Boga wierzy, kto pragnie być dobrym synem téj ziemi, kto prawdziwie kocha Ojczyznę, ten niech ceni swoją ojcowiznę, swoje rzemiosło, niech nie wpada w sieci żydów, a jeżeli pożyczać niestety musi, niech to czyni mądrze, przezornie i ostrożnie nadzwyczaj. Od tego nihilizmu zachowaj, zachowaj i jeszcze raz zachowaj nas Panie!

Gdzie najlepiéj?

Są ludzie, co ciągle wzdychają do świata,
Chcieliby wędrować gdzieś za lądy, morza;
Za nic u nich ziemia i ojczysta chata,
Którą nakazała kochać dobroć boża...
W świat ich gdzieś pociąga dziwna jakaś moda,

Bo im ciasno tutaj w poczciwéj rodzinie,
A przecież najmilszą rodzinna zagroda,
Bo tu tylko szczęście i zdrój pociech płynie.
Ojczysta zagroda to najdroższy kątek —
To przybytek tylu wspomnień i pamiątek.

Zdaje się tym ludziom, że tam złote góry,
Sama jest uciecha i rajskie pałace,
Dyamenty, perły wypadają z chmury,
Że tam jak szatana wypędzono pracę.
A przecież przyznacie, że jedynie praca
Uszlachetnia ludzi, obdarza uciechą;
Ona wszędzie, zawsze pilnych ubogaca,
A tém pewniéj jeszcze pod rodzinną strzechą.
Kto się więc spodziewa w obcym kraju nieba,
To człowiek szalony, nad nim płakać trzeba.

W ojczystéj zagrodzie boży świat ujrzałem;
Jam do ojczystego duszą przylgnął kraju...
Ileż to się razy szczerze nahasałem
Nad srebrzystą wodą naszego ruczaju!
Och, najmilsze dla mnie są kąty rodzinne,
Gdzie są pola, łąki i urocze gaje;
Niech się w kąt schowają wszystkie ziemie inne,
Ja pierwszeństwo mojéj po nad wszystkie daję.
Kto nie kocha ziemi, to człowiek złośliwy;
Tylko w swoim kraju możesz być szczęśliwy.

Mam żonę poczciwą i kilkoro dzieci;
Wszyscy codzień w pracy jak mrówki w mrówisku,
Toż swobodnie, słodko życie nasze leci;
Poprzestajem chętnie, choć na małym zysku.
Praca jako tako przecie nas wyżywi;
Nie pragniemy wcale rozkoszy i zbytku.
Jesteśmy spokojni, skromni i szczęśliwi —
A mieć czcze zachcianki — nie ma w tem pożytku.
Chociaż mało mamy, w myśl naszych zwyczajów
Nie wzdychamy nigdy do obfitszych krajów.

Kiedy wyjdę w pole, gdy zaświta dzionek,
Słońce zajaśnieje — to mi światek drogi!
A gdy jeszcze piosnkę zanuci skowronek,
O, to wtedy rozkosz; jakiż żywot błogi!
Nie pragnę innego szczęścia i zabawy,
W zaciszu tem wiejskiém czas spędzam najmiléj;
Dla mnie nie trzeba gwaru, ani wrzawy:
Czuję, żem szczęśliwy w każdéj dzionka chwili.
Mojego też kąta nie zmieniłbym za nic,
Bo go kocham szczerze i cenię bez granic.

A kiedy w niedzielę z starego kościoła
Odezwie się dzwonek, by spieszyć na modły,
Dążą wszyscy społem z calutkiego sioła:
Chłopaki jak buki, dziewice jak jodły...
A wszystko swobodne po tygodnia pracy —
Kiedy pieśń zanuci w szczerém polskiem słowie,
Czuć, że to poczciwi polscy są wieśniacy,
Którym obce ziemie pewnie ani w głowie.
I choćbyś przejechał świat nowy i stary,
Nigdzie nie znajdziesz takiéj silnéj wiary.

W niedzielę wieczorem w chatce to aż miło!
Zejdą się me dzieci, co do szkoły chodzą,
I jak zaczną prawić — jak to u nas było —
Czém się ludzie wznoszą, a czem sobie szkodzą;
Jak to żyć potrzeba, Boga pięknie chwalić,
Kochać kraj rodzinny, dany nam od Boga,
Co może nas zgubić, a co znów ocalić —
O to wtedy w duszy taka radość błoga,
Że za łaski Boga dziękuje się szczerze,
I przez dziatwę naszą w lepszą przyszłość wierzę.

I po cóż mam wzdychać gdzieś do obcych krajów?
Będzież który milszy nad mój kraj rodzinny?
Czyż się mam wypierać méj wiary, zwyczajów?...
O, niech tylko każdy będzie tutaj inny,
A będzie inaczéj także w naszym kraju;
Zamożność z pewnością wstąpi w nasze chaty,
Nie będziemy wzdychać do obcego raju,
Lecz nam trzeba: cnoty, pracy i oświaty.
Nie wzdycham do bogactw i obcego świata,
Mnie najmilszy kąt mój i ojczysta chata.

Dziwię się więc ludziom, co mają marzenia,
Że w dalekim świecie wszystko idzie składnie,
Z łatwością tam można dorobić się mienia,
Że im tak pracować, jak tu nie wypadnie...
Praca jednak wszędzie mozoli i trudzi,
A nie chcieć pracować — myśl głupia i pusta;
Praca koniecznością, ale szczęściem ludzi:
Pieczone gołąbki nie wpadają w usta.
Mnie praca tu cieszy, wyżywia i krzepi;
Gdzie mię Bóg osadził, tu mi jest najlepiéj.

Józef z Bochni.

KSIĘŻYC.

Któż z nas nie widział gwiaździstego nieba? Olbrzymi ten błękitny gmach iluż światłami nie błyszczy! Miliony gwiazd, jak srebrne stada owieczek, spokojnie i mile mrugają ku nam, a pyzaty księżyc sunie się naprzód jak gdyby ich pasterz — to cóż dziwnego, że aż serce człowieka mimowolnie cieszyć się musi. Nie wątpię, że każdy z was doznał owego uroku pełni księżycowéj, pod wpływem której korzyć się musiał przed Stwórcą, który tak mądrze i pięknie urządził nasz świat. Nie jeden znękany troską o chleb powszedni, strapiony doznanem nieszczęściem, przynajmniéj na chwilę musiał zapomnieć o swéj niedoli, zapomnieć o biedzie co go chłoszcze, a zrzuciwszy ciężar trosk ziemskich, co serce jego gniotą, popuścił myślom wodze i duchem swoim błąkał się wśród gwiazd, szukając Stwórcy, który wysoko, bardzo wysoko mieszkanie swoje zbudował.! Księżyc, to wierny towarzysz ziemi, tak potrafił ukołysać i w zadumę wprawić człowieka! A wiecie dla czego? Bo i on wygląda jakby posmutniały i zadumany... bo i nad nim podobno ręka Sprawiedliwego zawisła. Bają bowiem u nas ludziska, że księżyc kiedyś podobno także tak samo był uśmiechnięty jak słoneczko dzienne, tak figlarny jak

hoży młodzian, gdy do tańca sunie, tak szczęśliwy jak dziecię na łonie matki. Pieścił on swym promieniem naszą ziemię, jak starą babulę, która go wychowała i wypielęgnowała. I Bóg cieszył się takiem przywiązaniem jego do ziemi i obdarzał go coraz piękniejszémi zaletami. Aż oto raz skusiło go coś, że zaczął się pysznić owémi zaletami i chciał porzucić swą matulę. Posmutniała ziemia, a wszystkie jéj stworzenia zaniosły skargę do Stwórcy na księżyc. Za nieroztropny ten wybryk został księżyc surowo skarany. Stwórca odebrał mu jasność, pozbawił go młodzieńczéj krasy, spustoszył jego powierzchnię i na wieki skarał go na usługi nocne ziemi. Posmutniał i spoważniał od tego czasu księżyc, rumiana twarz jego pomarszczyła się i przybrała wyraz starca zadumanego. Jeden tylko św. Jerzy miał się nad nim ulitować i jako pustelnik samotny osiadł na gruzach jego, aby na skrzypkach swoich grając smętne dumy, żalić się nad biedną dolą jego. Wiele jeszcze innych rzeczy opowiadają ludziska, ale ja wam mówię, że są to tylko pięknie ułożone bajeczki. W rzeczy saméj jednak inaczéj się wszystko ma. Trochę tylko cierpliwości a opowiem wam zaraz.

Piszą astronomowie (są to ludzie, którzy gwiazdy badają), że ciało to niebieskie to jest księżyc, jest utworzony z podobnego materjału co i ziemia — a co do kształtu wcale od niej się nie różni. Wiecie bowiem, że ziemia jest okrągła, księżyc również jest takim, jak się o tem naocznie przekonać możecie. Widzieliście bowiem nieraz przy księżycu, kiedy kształt jaśniejącego sierpa przybrał, resztę jego okrągłéj tarczy zaciemnionéj. A podczas nowiu jest on całkiem ciemny. Takie spostrzeżenie musi nas przekonać, że podobnie jak ziemia światła własnego nie posiada, a jeżli świeci, to światłem od słońca odebraném. Słońce bowiem oświetla go podobnie jak ziemię promieniami, a promienie te odbiwszy się od księżyca podobnie jak od źwierciadła, oświetlają ziemię w nocy. Posiadając już tyle własności wspólnych ze ziemią, musi ich posiadać i więcéj.

Wiecie także, że ziemia odbywa w nieskończonym przestworzu świata dwojaki ruch, to jest około swéj osi i około słońca; ma zatem podobny ruch jak koło u wozu podczas jazdy. O tém wszystkiem już wiecie. Księżyc również obraca się w koło, nietylko około ziemi się obraca, ale nawet z nią razem około słońca ruch odbywa. Najlepiej to sobie wyobrazicie, jeżeli ruch jego porównacie z tańcem wirowym n. p. z polką. Przypuśćmy, że na środku izby stoi nieruchomo jedna osoba, a około niéj, uchwyciwszy się w poły tańczą polkę dwie osoby. Wtedy nieruchoma osoba przedstawia nam słońce, a dwie wirujące około niéj wyobrazić nam mogą księżyc i ziemię.

Ale nauka o gwiazdach, czyli jak ją zwiemy astronomia, nie miałaby wielkiéj wartości, gdyby tylko tyle nam o księżycu opowiadała, co sobie nawet prosty rozum wykalkulować potrafi. Nie! Nie na tem ogranicza się astronomia. Astronomowie wykalkulowali nawet jak wielki jest księżyc i jak daleko do tego sąsiada naszéj ziemi. Mówią oni, co również i rachunkiem udowadniają, że księżyc jest 50 razy mniejszym od naszéj ziemi, to jest, że gdybyśmy ziemię naszą podzielili na 50 równych części, to jedna taka część równa się wielkością księżycowi. Jest to więc ogromna kula, nie tak mała jak się nam mieszkańcom ziemi pozornie przedstawia. Skromna jego postać pochodzi tylko z jego oddalenia wielkiego od ziemi, które wynosi blisko 49—54½ tysięcy mil od ziemi. Pomyślcie sobie, co to za ogromna przestrzeń dzieli nas od księżyca, przestrzeń o jakiéj nawet wyobrażenia nie mamy. Jeżeli sobie pomyślimy, że chmury, które rzadko kiedy wyżéj jak w odległości dwóch mil wznoszą się nad głowami naszemi, już tak wysoko się nam wydają, to cóż dziwnego, że odległość kilkudziesięciu tysięcy mil, jest tak okropną, że olbrzymią kulę księżycową tak niezmiernie zmniejsza, bo bochenki chleba większe bywają niż on.

Nie dosyć jeszcze na tem. Za pomocą bowiem szkieł powiększających, o których może już ze słuchu tylko wiecie, potrafili ci astronomowie dowiedzieć się, co na księżycu się znajduje. Zdziwi was może nie pomału, że dla mieszkańców ziemi, nawet tajniki księżyca są wiadome — ale czegóż to nie dokazał ten rozum ludzki! Ciekawiście zapewne, co też zobaczono na księżycu? Może tam święci mieszkają, możebyśmy mogli aniołów widzieć, a może jakie złe duchy i smoki sadyby swe założyły?... Ale gdzie tam! Gołem okiem, to jest okiem nie uzbrojonem w szkła powiększające, które lunetami i teleskopami nazywamy, nic innego na księżycu, jak tylko wyraźniuteńką twarz widzimy. Oczy, nos, usta, policzki, to jakby kto naumyślnie wyrysował, wierutna powiadam wam głowa otyłego człowieka! Z tąd zapewne pochodzi, że na otyłych ludzi mówimy, iż wyglądają jak księżyc w pełni. Są tacy, którzy znowu w pełni księżyca widzą postać człowieka, inni znowu co innego w nim upatrują. Pan Bóg wié, co ci ludzie nie widzą na księżycu, ale to

wszystko nie do rzeczy. Tylko uczeni widzą na księżycu to co na nim istotnie jest. Bo oni ani twarzy, ani świętych, ani ludzi, ani smoków nie widzą, bo gdzie tam człowiekowi dostrzedz tak małe istoty w tak niezmiernéj odległości. Oni tam widzą olbrzymie góry, skały i przepaście, jakie astronomowie na księżycu odkryli. Jeżeli na ziemi są góry, to nie dziw, że i na księżycu także istnieją. Gdybyśmy choć na chwilkę mogli osobiście przypatrywać się przez taką lunetę w kształcie rury zbudowaną, zobaczylibyśmy ogromną tarczę księżyca, blado oświetloną od promieni słonecznych, a na niéj oko nasze błądziłoby po górzystych krajach. Zaglądalibyśmy w olbrzymie kotliny i przepaście bezdenne, skały i szczerby sterczące z łona jego. Gołem okiem widziane ciemne plamy, które niedawno jeszcze w nieświadomości za morza uważano, przedstawiać się nam będą przez lunetę jako pasma i łańcuchy wysokich gór i pagórków, których oświetlone szczyty, długie rzucają cienie na ciasne i wązkie doliny, które im towarzyszą.

(Dokończenie nastąpi).

Dział przyrodniczo-ekonomiczny.

Nieco o pokarmach.

(Ciąg dalszy)

Chléb. Najpowszechniejszym pokarmem obok wody jest chléb. Jak wam zapewne wszystkim wiadomo chléb zarabia się w dwojaki sposób, albo się dodaje drożdży np. do chleba światłego albo kwasu czyli t. z. naciastki np. do chleba razowego. W skutek dodania kwasu lub drożdży ciasto rośnie. Jeżeli ciasto było za wilgotne, to przy pieczeniu wytwarzają się pęcherze, które tworzą w bułkach jamy, w chlebie razowym oddzierają skórę wierzchnią od ośródki, ośródkę zaś tak zgniatają, że tworzy się na samym spodzie znany zakalec. Powszechnie lubią ogromnie dzieci chleb zakalcowaty — chociaż jest on bardzo szkodliwy, dla tego nie należy mimo napierania się z ich strony nigdy im go dawać. Chléb dobry powinien posiadać jednostajną pulchną ośródkę. W ośródce nie powinny się znajdować bryłki mąki, które dla tego się jedynie pokazują, że ciasto było źle wyrobione. Chléb dobrze wypieczony nie powinien na sto części chleba więcéj jak 40 części wody zawierać w sobie, bo jeżeli w chlebie więcéj się znajduje wody, wtedy nie żujemy go dobrze, on sam nie miesza się ze śliną i w skutku tego żołądek nie trawi go w zupełności — a dla tego nie zmieniony uchodzi do kiszek a ztąd na zewnątrz. Choć więc sobie dobrze podjedliśmy, zostajemy głodni, bo chléb przeszedł przez nas nie zmieniony, nie strawiony! Chléb zawierający wiele wody łatwiéj pleśnieje. Dodatki do chleba z ziemniaków tartych lub kukurudzy czynią chléb nadzwyczaj niezdrowym. O wiele są zdrowsze ziemniaki spożyte same, niż w chlebie. A wy kochani Włościanie! tracicie czas na tarcie ziemniaków do chleba — po co — po to żeby jeść chléb, który waszemu zdrowiu jest niepomiernie szkodliwy. Zaniechanie tego zwyczaju wyjdzie wam z pewnością na korzyść! Ze 100 funtów mąki pszennej otrzymuje się zwykle 125 funtów chleba; ze 100 funtów mąki żytniéj około 130 funtów razowego chleba. — Chléb czarny jest łatwiéj strawny, a więc i pożywniejszy niż chléb biały. Skórka jest pożywniejsza od ośródki, bo jest łatwiéj strawna, dla tego to chorym daje się rozmiękłą skórkę chleba. Chléb piecze się zwykle z mąki pszennéj lub żytnéj. W Azyi pieką chléb z mąki jęczmiennéj, a nasi poczciwi górale wypiekają go z mąki owsianéj. Prócz pszenicy i żyta, które głównie służą do wypieku chleba używamy jeszcze prosa, a w nowszych czasach kiedy koleje zbudowano, zagląda do nas częściéj kukurudza i ryż zwłaszcza w lat nieurodzajne. Ryż pochodzi z Chin i Indyi, gdzie jest tak powszechnie używany, jak u nas ziemniaki. Ryż mimo że jest potrawą smaczną, należy do najmniéj pożywnych pokarmów. Kukurudzy ojczyzną jest Ameryka mianowicie Peru i Meksyk, gdzie jest codziennem pożywieniem. Rodzi się także w Węgrzech i we Włoszech. Co do pożywności — mało się różni od ryżu.

Owoce strączkowe. Tu należą: bób, groch, fasola, soczewica. Nie uwierzycie moi kochani, jeżeli wam powiem, że wyżéj wymienione owoce należą do najpożywniejszych potraw. A jednak tak jest. Bób i groch są poniekąd nawet pożywniejsze niż mięso. Dla tego téż staraniem naszych gospodarzy być powinno, jak największą ilość tychże chodować. — Najlepiéj o pożywności bobu wiedzą żydzi. — To téż oni go najpierwsi zaczęli uprawiać — a dziś biedny żydek żywi się powiększej części bobem lub grochem, gdyż go to nie wiele kosztuje, a podje sobie tak dobrze, jak drugi, który daleko więcéj za jedzenie zapłacić musi. — Przytem wszystkiem, groch, bób, należą do najniestrawniejszych rzeczy. Dać zatem choremu grochu, znaczy tyle co powiększyć jego chorobę. Dla téj saméj przyczyny na wieczerzę nie należy jadać tych potraw. W końcu dodać należy, że aby dobrze ugotować owoce strączkowe tj. bób, groch itd. nie należy ich gotować w wodzie studziennéj — tylko w rzecznéj a najlepiéj w deszczówce.

O wiecu ludowym w Krakowie

według „Czasu".

Uroczystość ośmsetletniéj rocznicy męczeństwa Śgo Stanisława zmieniła od dwóch dni postać Krakowa. Wieść o tém święcie biskupa męczennika obiegła Polskę całą, a lud nasz, który gdy go wiara prowadzi nie zwykł żałować trudu, umartwień a nawet i kosztów z najdalszych okolic kraju wyruszył na pielgrzymkę do Krakowa. We środę, w wilję uroczystości, przybyły koleją dwie największe kompanie, jedna od zachodu ze Szląska i Wielkopolski, a druga, którą prowadził X. St. Stojałowski z Galicyi. Kompania ta liczyła przeszło dwa tysiące osób.

Pielgrzymi prowadzeni przez X. Stojałowskiego udali się do Klasztoru OO. Franciszkanów, gdzie obszerne krużganki i korytarze wnet zapełnili rozkładając się obozowiskiem. Wielu obywateli miasta udzieliło gościny w swych domach, mimo tego zabrakło słomy na pościel dla wszystkich, gdyż nie zawiadomiono dość wcześnie o liczbie przybywających pielgrzymów, równie, jak o programie obchodów i porządku dziennym wiecu. Dnia 8. maja od świtu roiły się ulice Krakowa od ludu, którego rozmaite ubrania mogły służyć za studjum dla etnografa ziem polskich. Zacząwszy od krakowskich kaftanów i karazyj, mazurskich płócienek i magierek, góralskich guni i kapeluszy, można tu było rozróżniać wszystkie stopniowania w kroju sukni i nakrycia głowy, aż do wysokich baranich czapek z Pokucia i z głębi Podola wraz z długiemi świtami. Strój szlązaczek, mający już więcéj zakrój niemiecki, oraz surduty długie, wchodzące w obyczaj w Wielkopolsce, uzupełniały ten przegląd. Lud mimo różnic ubrania za zbliżeniem do tych tłumów uderzać musiał jednakowy nastrój ducha, wspólna gorącość wiary i ta natura wytrwała a dla siebie twarda, gdy chodzi o chwałę bożą, która odznacza lud nasz na całym obszarze dawnéj Polski. Pielgrzymi od rana zapełniali kościoły i oblegali konfesyonały, a przystęp do Wawelu i na Skałkę stawał się niemożebnym z powodu tłumów ludu.

Wiec ludowy przez X. Stojałowskiego ogłoszony miał się rozpocząć o godzinie 2ej popołudniu, lecz otwarł się po 3ej w ogrodzie strzeleckim. Trybunę, służącą zwykle dla orkiestry zajęło grono duchownych i obywateli, tak przybyłych z kraju, jak i krakowskich — cały zaś plac między trybuną a restauracyą zapełniali włościanie. X. S t o j a ł o w s k i z zapałem powitał zgromadzonych z dalekich stron Polski, zwracał się do Wielkopolan, Szlązaków i Galicjan, wspominał o tych, którzy tu przybyć nie mogli, ale którzy pod względem wiary służyć nam winni za wzór, o ludzie polskim pod rządem rosyjskim, a zakończywszy inwokacyą do św. Stanisława, patrona Polski, wezwał obecnych, aby wybrali przewodniczącego wiecu. Na propozycyę mowcy, aby przewodniczył wiecowi ten, co jest głową tego starożytnego miasta, przez aklamacją powołano na przewodniczącego prezydenta miasta Dr. Z y b l i k i e w i c z a, który też serdecznie powitał imieniem miasta zgromadzonych i otwarł obrady wiecu. Pierwszym z mowców był X. Dr. P e l c z a r, profesor uniwersytetu. Przeszedł on różne potrzeby naszego ludu, odmalował wyraziście wnętrze chaty włościańskiéj i dotnął różnych wad i różnych biéd, które trapią chłopka i są powodem dla czego nie może się on podźwignąć. Z kolei zabrał głos p. Henryk K r z y ż a n o w s k i, przybyły z Wielkopolski, znany zaszczytnie poseł na sejm berliński. Gorąco, wymownie rzucił on porównanie położenia trzech rozdzielonych dzielnic Polski, wskazywał potrzebę jedności i obrony praw narodowych wraz z prawami Kościoła, stawiał na oczy przykład ludu wielkopolskiego. Mowa p. Krzyżanowskiego wywołała wielki zapał. Powtórnie zabrał głos X. S t o j a ł o w s k i, jakby w chęci zreasumowania dwóch mów poprzednich, aby tém silniéj wbiły się w serca i pamięć słuchaczy. Hr. Henryk W o d z i c k i, prezes Towarzystwa rolniczego, zwrócił obrady wiecu do praktycznego kierunku, wykładał bowiem włościanom w sposobie zrozumiałym potrzebę tak zabezpieczeń od ognia, jak zabezpieczeń życia. Z wielką uwagą słuchali włościanie tych rad, jakie im mowca udzielał, zachęcając do zabezpieczenia mienia, równie jak losu rodzin na wypadek śmierci. Wieniec wymowy ludowéj zdobył sobie p. Alfred S z c z e p a ń s k i. Umiał on zasady ekonomiczne podać w tak prostéj, jawnéj, barwistéj formie, umiał przemówić do rozsądku ludu, pobudzić go nawet do wesołości, a podnieść mnóstwo praktycznych stron życia wiejskiego. Przedmiotem mowy był właściwie drobny przemysł domowy, który ze wszystkiego umié skorzystać, aby wydobyć korzyść. Mowca zakończył następującym wierszem:

W naszéj polskiéj ziemi mamy chleba w bród,
Gdzie stąpić, gdzie spojrzeć to łaska i cud.
W dolinach i w górach wszędzie boskie oko,
W roli, w głębi lasu i w ziemi głęboko,
Po łąkach i wodach... byle człowiek chciał
I ręki przyłożył, a chléb będzie miał.
Z kamienia i z ziela i z drewna i z gliny,
I z pszczoły, ze słomy, z kości i z wikliny...
Z wszystkiego, co dał nam Pan Bóg ręką hojną
Można chléb wydobyć i mieć krowę dojną.
Ale jak wydobyć? jak użyć swéj ręki,
Jak nadłożyć głową i nieszczędzić męki?
W tém sęk i w tém orzech, a nielada twardy.
Ten tylko go zgryzie: co nie dzik, nie hardy
Ale wié, że człowiek jest Boga obrazem,
Więc, że mu nie wolno być przy drodze głazem
Martwym, takim jutro, jak wczoraj i rano,
Niby ów grzyb, o którym powiedziano:
„A siedźże grzybie, aż cię baba zdybie!“
Lecz że trzeba rosnąć i w mądrość i w łaski
Serce w uczciwość, głowa w światła blaski,
A sercu i głowie, jak weselu drużby
Ręce i nogi muszą nieść swe służby.
Jaki zaś ojciec, taką jest rodzina,
Jakie są chaty, taką cała gmina,
A z gmin powiaty, a z powiatów kraj; —
Więc takich włościan daj nam Boże, daj,
Co pamiętają o tém zawsze, wszędzie,
W domu i w karczmie, w lesie i na grzędzie:
Że jako woła dzwon do kościoła
I bez pacierza
Człek zmienia się w zwiérza —
Tak bez nauki — nie ma sztuki,
Bez pracy — nie ma kołaczy,
Bez cnoty — nie ma roboty,
Bez trudu — nie ma cudu.

Wreszcie przemówił X. C h o d k o w s k i, redaktor *Przyjaciela Ludu* i mówił o zgodzie wszystkich stanów, wezwał zgromadzonych do wzniesienia okrzyku na podziękowanie prezydentowi miasta za przewodnictwo w niém, X. Stojałowskiemu za gorliwość w urządzeniu pielrzymki i wiecu, oraz na cześć starszéj braci duchowieństwa i szlachty. Dalszy ciąg wiecu odłożono na dzień następny, zgromadzeni procesyonalnie udali się na nieszpory do kościoła na Skałce.

(Dokończenie nastąpi).

Skrzynka listowa redakcyi.

Wszystkim tym, co nas byli łaskawi odwiedzić teraz na św. Stanisława, z serca dziękujemy. Miłą nam była ich pamięć o nas, miłe każde słowo, i daj Boże! abyśmy się znowu kiedyś zobaczyli i pogawędzili. Rad i przestróg wspólnie omawianych pilnie strzeżcie. Religia to rzecz pierwsza, oświata na religii oparta uczeni i Was samych i podniesie dobrobyt chat i wiosek Waszych. O wszystkiém tém mówiliśmy wspólnie, otóż za darowaną chwilę przesyłamy szczere: Bóg zapłać! A kiedyby ktoś z Was znowu choćby po interesie zaszedł do Krakowa, to niech nie zapomni o Redakcyi przy ulicy Florjańskiéj Nr. 371.

Dla różnych przeszkód nie wyszedł dnia 8. b. m. Nr. 9ty „Zagrody“, ale wyjdzie razem z 10tym na przyszły tydzień.

Właściciel, wydawca i odpowiedzialny redaktor Aleksander Kroll. W drukarni W. Korneckiego.